

JESZCZE JEDEN DZIEŃ W RAJU

ALEKSANDER SOWA



© Copyright by Artur Szulc 2007
© Copyright by Aleksander Sowa 2010
Korekta: Alicja Bartosik & e-bookowo

ISBN 978-83-61184-81-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II zmienione i poprawione 2010

*Nie czytaj tej książki jeśli nie chcesz,
aby Twoja ulubiona czerwona sukienka była jeszcze czerwiejsza,
nie czytaj – jeśli nie chcesz mnie znieawidzić.*

Dziewczynie o Perłowych Włosach.

1.

Wszystkie dworce PKP są, tak naprawdę bardzo do siebie podobne. Budynek z czerwonej cegły, betonowe perony z białymi liniami, żelazo torów i kabli; zimną gawrony, szprycerzy i bezdomni. Standardowy krajobraz dworca Polskich Kolei Państwowych. Ale stojąca na peronie dziewczyna nigdy się nad tym nie zastanawiała. Myślała o zupełnie czymś innym, odległym, jak oceaniczne antypody. Z tej kontemplacji wyrwały ją nagłe słowa:

– Stacja Opole Główne, stacja Opole Główne...

Głos kolejowego zapowiadacza sygnalizował, że za kilka chwil ogromna, kilkusettonowa maszyna wtoczy się przed nią, po liniach stalowych szyn. Rzeczywiście po chwili długi skład zatrzymał się z przeraźliwym piskiem hamulców, jednak z wagonów wysiadło jedynie kilkunastu podróżnych: dziewczyna z plecakiem większym niż ona sama, szacowny Pan około czterdziestki w czarnym płaszczu ze skórzaną teczką, który pewnie w każdy weekend spędza wieczory w burdelu, mężczyzna, na którego czekała kobieta z małą dziewczynką. Mała kiedy tylko go zobaczyła, puściła trzymającą ją za rękę kobietę i pobiegła wprost do niego, rzucając mu się na szyję.

Skład ruszył z szarpnięciem, odjechał w sobie znanym kierunku i po chwili już go nie było. Dworcowa, zwykła nuda.

Dziewczyna odwróciła wzrok, spoglądając z niepokojem na wyjście z tunelu pod torami prowadzące do głównego holu dworca. Rzuciła nerwowe spojrzenie na kolejowy zegar, identyczny jak setki zegarów na wszystkich dworcach w Polsce.

– Jeszcze nie czas, jeszcze musi poczekać – myślała sobie.

Stała sama, na wschodnim krańcu peronu, w miejscu z którego wszystko doskonale widziała pozostając jednocześnie niewidoczną dla innych – nie licząc dworcowego kota, peronowego mistrza kamuflażu. Rudy kocur przebiegł przez tory w miejscu gdzie przechodzą zawsze kolejarze, zatrzymał się przed wejściem na peron – rozejrzał się i nagle utkwil wzrok w dziewczynie. Stał jakby zmrożony jakąś niepojętą siłą i na chwilę zastygł w zupełnym bezruchu, niczym posążek z brązu. Obok filaru, widział dziewczynę ubraną w ciemną bluzę z kapturem naciągniętym na włosy i w spodnie od dresu. Przyglądała mu się. Kot ruszył. Przebiegł bezszelestnie przez peron i znikł za jednym z budynków jak duch.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się obrzydliwym dymem. Nagle usłyszała za sobą czyjś głos i aż podskoczyła ze strachu. Krztusząc się niemilosiernie narobiła rabanu na cały dworzec.

– Mógłbyś mnie poczęstować?

Zobaczyła za sobą jednego z dworcowych bezdomnych

– A... bardzo panienkę przepraszam... nie zauważyłem. Bezdomny, zupełnie nie speszony tym, że wziął ją za chłopaka przyłożył zgrubiałą, brudną dłoń do swoich popękanych ust i patrząc jej w oczy ciągnął dalej – nie poczęstowałaby mnie pani papieroskiem? Skoro biegasz sobie dla zdrowia wieczorami, i tak ci ten papieroszek jest chyba niepotrzebny a mnie przyda się o wiele bardziej – mamrotał pojednawczym tonem mieszając formy grzecznościowe.

– Zjeżdżaj – warknęła mu przez zęb, odwracając wzrok.

– O... nie musisz być taka niegrzeczna, nic ci nie zrobiłem – oburzył się nagle.

Mimo, że sama kilkanaście minut temu sporo wypła poczuła, że bezdomny śmierdzi. Zalatywało od niego alkoholem odorem brudu, męskiego potu i moczu. Zemdlilo ją.

– Spierdalaj, mówię, bo zawołam sokistów. Już cię nie ma! Nie rozumiesz? – wrzasnęła na intruza.

– A, rozumiem, rozumiem – bezdomny powoli, z niechęcią odwrócił się od niej i machając ręką obojętnie mruknął, ni to do siebie ni to do niej. – Nie musisz być taką suką! Chciałem tylko papierosa.

– Dziewczynę rozdrażniło to jeszcze bardziej, ale nie odezwała się. Zgasła papierosa butem. Nie chciała aby ktokolwiek ją tutaj teraz zobaczył.

Spojrzała jeszcze raz na dworcowy zegar i zatrzymała swoje błękitne oczy na dużej wskazówce, a ta po chwili przesunęła się niezgrabnie po tarczy zbliżając się do godziny dwunastej. Poczuła zimny, nieprzyjemny dreszcz. Wieczór był chłodny. Przemarzła w sportowym stroju do biegania. Nie padało, a mimo to powietrze ciężkie było od wody. Przypominało jej tchnienie wodospadu. Mgła powoli i stopniowo gęstniała, rozmywając i wymazując, jak gumka do ołówka, kontury rzeczy bliższych czyniąc jednocześnie te dalsze, nieistotnymi dla źrenic. Przyćmione światło lamp rzuciło na dworzec parasole upiornego, jasnego blasku.

Wtem usłyszała na pustym dworcu odgłosy kroków. Dochodziły od strony wejścia. Naciągnęła kaptur jeszcze mocniej na głowę, skryła się za filarem w mglistym powietrzu tak by niepostrzeżenie widzieć kto się zbliża.

Mrugająca i rżęząca ostatkiem sił świetlówka, co chwile na kilkadziesiąt sekund skrywała ją doskonale w nieprzeniknionym mroku dworcowego zaułka. Czyjeś stopy w damskich butach ci-chutko zastukały w posadzkę. Kobieta, która weszła na dworzec, powoli zbliżyła się do krawędzi peronu i stanęła dokładnie na przeciw dworcowego zegara. Rozejrzała się i uznała, że jest sama. Popelniła błąd.

Dla Beatki jednak ta kobieta była bez znaczenia. Wszystko szło zgodnie z planem – jak sądziła. Miała wrażenie, że zastawiona przez nią pajęcza sieć powoli się napręży, że za chwilę wypełni się i ugnie pod ciężarem ofiary. Czekala na Bruna. Nieznajoma nie liczyła się. Nie liczyła się jej tożsamość, choć w istocie powinna. W ciszy zabrzmiały kolejne kroki. Ukryta za filarem Beatka spostrzegła cień idącego mężczyzny. Jej serce zabiło o wiele szybciej i mocniej. Chociaż nie widziała jego twarzy a jedynie zarys sylwetki natychmiast go poznała, a przynajmniej tak się jej zdawało. To był Bruno. Bo to on miał być. Przywarła do drewnianego filara plecami, oddychając głęboko i szybko. Dziewczyna z peronu i Bruno zbliżyli się do siebie. Nie tego się spodziewała. Targała nią zazdrość, złość, rozczarowanie i nagle, jak zastrzyk adrenaliny – chęć zemsty. Alkohol, który wpiła przed wyjściem z domu potęgował wszystkie doznania. Ten wieczór, wydawał się magiczny. Pusty dworzec, mokre od mgły, gęste i ciężkie powietrze. Wszystko to sprawiało wrażenie jakby było snem. Miała nadzieję, że on nie przyjdzie, że będzie tu tylko sama. Przyszedł i rozmawiał z kimś, kogo właśnie spotkał. Był teraz jakiś inny, zresztą było to teraz nieważne. Ważne jest, że przyszedł. Nigdy by tutaj nie przyszedł gdyby słowa które jej mówił były prawdziwe. Teraz wiedziała to doskonale. Ta myśl rozrywała jej serce, jakby wypełnione było nieustannie wybuchającym dynamitem, który zadawał nieopisany ból. Po chwili zapowiadacz z dworcowego megafonu znowu oznajmił.

– Międzynarodowy pociąg relacji Kraków Główny – Berlin ZOO wjeżdża na tor pierwszy przy peronie drugim. Przy wjeździe pociągu...

Potrójne światło hamującej wprawdzie, ale nadjeżdżającej wciąż z ogromną prędkością, elektrycznej lokomotywy zbliżało się z loskotem. Kiedy do jej uszu doszedł znajomy pisk tartych

o stalowe koła klocków hamulcowych, a ziemia pod jej stopami zadrżała. Nie kryjąc się już spojrziała na stojących na peronie. Stali tylko kilka kroków od niej.

– Zdrajca i jego nowa suka – pomyślała. Nie mogła widzieć ich twarzy i to potęgowało jej wściekłość. Złość targła ją jak burza. Alkohol mnożył jej doznania. Przed chwilą, wraz z pierwszymi krokami Bruna poczuła, że narkotyk zaczyna swoje działanie. Odurzenie. Zapadła się kilka kroków poniżej poziomu dworca. Nagle poczuła uderzenie masy powietrza, jakby ogromna, kilkudziesięciometrowej wysokości fala morskiej wody składająca się z drobin chłodu i mżawki błyskawicznie przevaliła się przez cały dworzec. Mgła odcięła wszystko to, co było teraz bez znaczenia. Była tylko ona i Bruno... był jeszcze pociąg. Nagle czas zatrzymał się, wszystko wokół się zatrzymało, jakby po wciśnięciu czarodziejskiego przycisku – stop, albo pauza – i życie na chwilę zamarło. Tylko ona, pociąg mogą się poruszać w tej chwilowej czasoprzestrzeni. Pomyślała, że zrobi to teraz. Szybko, po ciuchu. Tak by nikt nie widział. We mgle. W chwili kiedy czas się zatrzymał.

– Tak, zrób to teraz – usłyszała. – Teraz, na torach, na tym dworcu, przy garażach. Tam, gdzie nikt nie widzi. Tak, jak we śnie. Teraz. Zanim czas znowu ruszy w swój szaleńczy pęd ku przyszłości sprawy już nie będzie. Za chwilę nie będzie istniała. Nie będzie istniała zupełnie. Bez zbędnych emocji, bez wyboru, obojętnie – w końcu i tak to nieważne, bez halasu, niczym ostrze losu. Zrób to. Tak, by zabić.

Krew pulsowała w jej głowie, rozsądzała czaszkę. Jak gepard, dziki i niebezpieczny, szalony ruszyła ku nim. Wraz z hukiem wtaczającego się na dworzec opasłego cielska lokomotywy jak błyskawica, runęła na nich i pchnęła mężczyznę wprost pod nadjeżdżającego kolosa. Obiema małymi dłońmi z rozwartymi palcami uderzyła w plecy i by także nie stać się ofiarą, równocześnie odbiła się od nich po czym stanęła twardo na kamiennych płytach posadzki.

Mężczyzna zupełnie zaskoczony, natychmiast strącił równowagę. W powietrzu, wykonał jeszcze niepełny obrót. Zabójczyni ukazała się ostatni raz jego twarz. Patrzyła jak marnieje i więdnie. Jego twarz kiedy upadł bokiem na tory. Jego ostatni gest. Nadgarstek z zegarkiem. Teraz go poznała. W ułamku następnej sekundy zobaczyła jak na leżące na torach ciało wjeżdża rozpedzona lokomotywa.

– Zabiłam go – pomyślała. Nagle wszędzie eksplodował jasnopurowo-krwistoczerwony kolor i wszystkie odgłosy dworca zlały się w jeden ciągły cichy, jednostajny dźwięk. Krew była wszędzie wokół niej. Na niej. Na rękach, twarzy, we włosach zlepiając je w ciężkie strąki. Przylepiające się do skóry. Ciężące jak cierniowa korona. Czula smak krwi na wargach i ustach. Czula jak miesza się z jej śliną i jak płynie po jej brodzie. Czula przerażający ciepły, zapach zbrodni. Krew i jej krwisty kolor były niczym rzeka płynąca wraz pociągiem. Lawą z potrząskanej czaszki, trzewi, kończyn i płuc. Jak podczas erupcji z wulkanicznego krateru.

Nagle jej ciałem szarpnął dziki spazm, wygięła się w nienaturalnej pozie i równie nienaturalny wrzask wydobył się z jej wnętrza, mieszając się z odgłosem zatrzymującego się składu. Dokonało się. Tak, jak chciał los, wybierając swoim ostrzem przeznaczenie, którego uniknąć nam się nie uda, choćbyśmy próbowali oszukiwać miłością, zemstą, zdradą czy namiętnością.

Tak właśnie miał zginać Bruno, którego historię, jeśli zechcesz, opowiem ci teraz.

2.

Słowa te niech będą testamentem mojej miłości, mej duszy, pożogi mych łądźwi, mojego grzechu, mej namiętności i żądy. Czy naprawdę są tacy ludzie, którzy nie zasługują na kogoś, dla kogo będą jedynymi w całym wszechświecie? Na kogoś, dla kogo Twoje słowa i dotyk będzie najważniejszy? Na tego kogoś, kto będzie tęsknił za Twoim zapachem, Twoim smakiem i wibracjami Twoich strun głosowych?

– Należysz do tego typu istot, których nigdy nie będę miał dosyć – zwykł mówić, kiedy z nią był. Była wyjątkowa. Gdybyście byli ślepi, trzeba by być w trzech miejscach, aby o niej opowiedzieć. Po pierwsze – w lesie pachnącym deszczem – taki bowiem kolor miały jej oczy, gdy płakała. Potem nad morzem, w czasie sztormu – aby zrozumieć jak patrzyła, gdy w jej oczach była wściekłość. Na pustyni, po trzeciej – gdy zachodzi słońce – by dostrzec ogień, który palił się w jej oczach – kiedy patrzyła z miłością. I gdyby na tej samej pustyni ktoś schylił się, aby nabrać garść ciepłego, spalonego słońcem piasku w swoje dłonie, to przesypując go między palcami poczulby kolor jej włosów. Kolor piaskowej burzy. Dziewczyny o Perlistych Włosach. Taka była pierwszej nocy i taką chciałby na zawsze chciałaby pozostać w pamięci tych, których kochała. Z dzikim spojrzeniem oczu z pod mokrych, niesfornych kosmyków włosów, które przykleiły się do policzków i ust. Oczu, w które Bruno patrzył godzinami, by wreszcie utonąć w nich jak marynarz w morskich odmętach. A on patrząc w nie co dzień, nie wiedział jakiego były koloru. Aż do ostatniego dnia.

– Jakiegoż bowiem koloru są oczy, kiedy mają barwę deszczu? – pytał.

Na jej ustach – które tak cudnie smakowały, milion słów wrytych jak przykazania w kamiennych tabliczkach. Słowa niepotrzebne, ważne, wielkie i małe... tyle słów niewypowiedzianych, tyle słów wypowiedzianych spojrzeniem, gestem dotykiem... Tyle niepotrzebnie. Tyle nocy spełnionych zapachem zanim dotknął ją po raz pierwszy spojrzeniem bardziej gorącymi od rozgrzanej lawy. Była jak skała, o którą rozbijali się wędrowcy choć chciała pokazać im drogę w ciemnościach. Poprowadziła go w tamtych dniach jak dziewczynka starca by zapłacił za przewóz Charonowi. On nie był starcem, ona nie była dziewczynką. Nie przewieziono przez Styks. Nie wtedy jeszcze. Choć stał już u jego brzegu. Zobaczył ją.

– Trzecia litera alfabetu, siódma, pierwsza, dwudziesta siódma, i znów pierwsza. Moja Beatka. Mój Duszek. Moje wirtualne zauroczenie. Moja najcudowniejsza kochanka. Moje życie, mój grzech, mój ból w łądźwiach, pożoga, dusza i moja... niespełniona nadzieja. Beata. Beti. Atka i Bee – szeptał do niej.

– Taka bliska, daleka... taka – nieprawdziwa? Czy to sen, czy śniłem? Czy była to prawda? – pytał. Była rzeczywista, czy była moim marzeniem? Była, jest czy będzie?

Teraz wiem. Dziewczyna o Perłowych Włosach – pachnąca ciepłym, ożywym wiatrem namiętności jak wieczorna bryza. Perlistowłosa. Duszek. W samych tylko skarpetkach, by ogrzać wiecznie zimne stopy. Z butelką wyleżakowanego w ciepłych madziarskich winnicach wina aszu w dłoni. Oświetlona w półmroku ciepłym światłem świec. Smukłe palce, które wystukiwały na klawiaturze zakłętę w znaki słowa. Aksamitny i ciepły jak żar ognia w kominku zimą głos. Ogromne, skryte za wachlarzem rżęs oczy. Namiętność, żąda, pożądanie, fascynacja, nienawiść, zazdrość i... miłość.

– Co wybrać, wysoki sędzie? Tego straszego dnia na ziemię nie przyszedł świt. Słońce nie wzeszło. Spalo zmęczone na łonie głębokiego, zielonego jeziora. On posmutniał tego ranka jak każdy, który traci część siebie, kiedy słońce nie wschodzi. Aż ona się zlitowała i usłyszał nagle jej głos.

– Chodź, pokaż mi niebo.

I oto, po dniach pełnych mroku nagle rozbłysło światło i oślepiło go jak piorun. I znów wszystko było takie jak dawniej, zielone i piękne. Ujrzał ją tego ranka najpiękniejszą kobietą na świecie, cudowną, wyjątkową, wspaniałą... i dziękował temu, kto stworzył ją dla niego. I niech będzie to Bóg, Jahwe, Kriszna, Wisznu lub ktokolwiek inny.

Stworzył ją – Perlistowłosą wychodzącą z czystych wód Balatonu. Wyszła ze spienionych burzą fal a woda spływała po jej aksamitnej, opalanej skórze wielkimi jak lzy kroplami. A w każdej z nich zakłęte było słońce i światło na miliony lat. Stąpiła po mokrej trawie porytej wciąż jeszcze zimną, poranną rosą. W dłoniach trzymała białe kamienie wskazując wędrowcom drogę do domu. On był tego ranka zagubionym wędrowcem. Usiadła obok tylko po to by ogrzać swe zimne od rosy stopy żarem jego ciała. Położyła dłonie na jego oczach na chwil kilka by zapomniał o złym czasie, który wcześniej dosięgał, by zobaczył odtąd to światło. Jej światło. Wtuliła się w jego ciało jak kartonik puzzle w drugiego, który tylko do niej pasuje z pośród tysięcy i głaskał ją aby mogła zasnąć nieświadoma tego, co się co się stało... usnęła zmęczona. Zabrał jej wszystkie niedobre sny tej nocy, by nic nie zakłóciło jej czystego snu, a on mógł zostać sam ze swoim marzeniem. Ukolysał ją śpiewając.

– Nie bój się – żaden duch, żaden cień, żaden ruch nie zbudzi cię ze snu. Jestem blisko i utulam cię, zaśnij na moim skrzydle – będę z Tobą.

Przyszła, a wraz z nią, tysiące zapachów lata, miliardy myśli i długie godziny kiedy smagał go południowy, narowisty jak mustang, wiatr niosący ze sobą słoneczne dni i dzikie, niespokojne noce. Tego dnia wybiegł na wzgórze i rozłożył ręce, by czuć jak bryza wieje wprost w twarz, niosąc zapachy odległych miejsc. Z każdą sekundą stawał się bardziej wolny. Szczęśliwy jak dziki koń wypuszczony po tygodniach niewoli. Potem spadły krople ciepłego deszczu i trwał w nim, pokryty łzami nieba. Czysty jak niemowlę.

Widzę ją teraz, jak znika za wielką niebieską górą, tonąc w polnych, kolorowych kwiatach, a ja opowiadam wam bajkę o dziewczynie, we włosach której śpi światło. Szepczę cicho dziwne słowa, nielato wam będzie zrozumieć i sens.

– Wędrowcze, kiedy będziesz samotny niech spadnie na ciebie mała gwiazda z pokrytego ciemnościami nieboskłonu, niech cię prowadzi jak innych prowadzą białe kamienie wskazując drogę w mrokach strasznych, samotnych nocy. Tak – wołam Cię – obudź się Dziewczyno o Perłowych Włosach i prowadź go swoją ścieżką. Czekaj z perłami pomiędzy niebem a ziemią.

– Śnię... czy była to prawda? Wszystko, czego tak naprawdę teraz pragnę, wszystko czego teraz chcę, było kiedyś w moich ramionach – Wysoki Sądzie – Bóg mi świadkiem, nie tak miało być, nie tak miało być! – Nie tak! – Za jeszcze jeden taki dzień, za choćby jedną sekundę, za to wszystko, czego nigdy nie cofnę, choć tak bardzo tego pragnę oddam, wszystko co mam, czego nie mam i czego mieć nigdy nie będę. Tylko za jeszcze jeden dzień z nią. Za jeszcze jeden dzień w raju. Najtrudniej jest wybaczyć sobie samemu.

3.

Zadzwoił domofon. Dwa krótkie dzwonki. Jak zwykle, by odróżnić kogoś znajomego od domokrażców oferujących jajka, ziemniaki, papier toaletowy, tańsze połączenia telefoniczne i gipsowe aniolki. Umówiony znak wszystkich wtajemniczonych. Zaskoczyło go, że już teraz. Wrócił dziś o 16 – wcześniej, niż zwykle, bo też wcześniej, niż zwykle – o 8, nie o 9 pojechał tego dnia w pracy.

To była ona. Wiedział, że to ona. To były jej kroki na korytarzu. Wsluchiwał się w odgłos jej butów rozmiaru 39 zawsze, ilekroć był w ich mieszkaniu wczesnej od niej. Przypominało mu to zachowanie psa, kiedy wiedział już, że pan wraca do domu – kiedy był dzieckiem. Do drzwi zadzwoniła kobieta, którą kochał.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w akademiku, kilka lat wcześniej, siedział w pokoju przy stoliku ustawionym przy oknie przez które wpadało do ciemnej czeluści pokoju w popołudniowe i ciepłe w dotyku światło słoneczne. Rysował ołówkowy portret. Drzwi się otworzyły i wszedł jego współmieszkaniec, którego nie darzył sympatią z racji upodobania do hałaśliwego przyrządzania śniadań, i innych kłopotliwych, bądź szczerze nieprzyjemnych dla współmieszkańców zwyczajów, z których pozwolę sobie wymienić tylko (by nie upadłać treści)... wieszania przepocowanych podkoszulków na kaloryferze w celu osuszenia ich z potu. Zatem stanął Pan Król – bowiem takie dostojne nazwisko nosił ten niecodzienny – i co tu dużo kryć – barwny osobnik, w drzwiach i za jego plecami ukazało się dziewczę o oryginalnej urodzie, o istnieniu której wiedział, lecz nie dane mu było jeszcze się z wybranką Pana Króla zobaczyć. Stała zatem w szarym, przykrótkim płaszczku, który później tak dobrze zapamiętała, a on patrzył.

– A więc to Ty – jako pozbawiony zahamowań w kontaktach z płcią przeciwną rozpoczął rozmowę.

– Tak, to ona – włączył się w ich pierwszy dialog Pan Król Nieproszony.

– Nie z Tobą rozmawiam – uciął jego wylewną rozmowność, jak się wkrótce okazało – nieskutecznie.

– Właściwie już wychodzimy, więc możesz się już pożegnać – ciągnął dalej Pan Król Gadatliwy. – Idziemy do kina – dodał z jadowitym uśmieszkiem samca, który ma samicę w posiadaniu, a inni tej samicy tknąć nie mogą.

– Zatem współczuję – odparł do owego dziewczęcia, patrząc na nią i jako osobnik, któremu nader łatwo przychodziło przylepiać ksywki ludziom dodał:

– Milagros.

Uśmiechnęła się do niego tylko troszkę i mocno speszona odeszła wraz ze swym niefortunnym wybrakiem na – jak później się dowiedział – różowutki film z Brytney Spears w roli głównej.

Nazwał ją tak wtedy z racji tego, że słowo Milagros w któryś z południowo amerykańskim jazgotliwym języku – oznacza cud. Jakiś czas później, mniej więcej około roku w Milagros znalazł następne lata swojego życia. Od tamtej chwili czas płynął nadal. Płynęły dni, tygodnie i miesiące przepelnione miłością. Wspaniała płomienną miłością, której nie zrozumie nikt, kto jej choćby raz nie doświadczył. Płynęły lata.

Malwina. Kwiatusek. Moja M. Malwek. Kropeczki. Kolderka. Wisienki. Przylądki. Kolderka. Źródelko z kamyczkiem. Wysepka. Droga Mleczna. Rylec. Drab. Pies. Pieseczek. Ryj... ich kod. Nie rozumiecie? Nie starajcie się rozumieć, kod miłości znają wyłącznie dwie osoby.

Pamiętał słoneczne dni, kiedy spacerowali bez celu i po zupełnie zwyczajnych miejscach szczęśliwi, oglądając świat wspaniały i piękny. Rozstania i chwile wielkiego cierpienia fizyczną nieobecnością nie mającą absolutnie żadnego substytutu głosu czy słowa pisanego czy esemesowanego. Wszystko mówiące słowa każdej piosenki i każde drzewo, kwiat i ptaki ćwierkające tak radośnie. Wszystko tak dobrze pamiętał.

Zmieniały się pory roku i wiosna każdego roku budziła się do życia wspaniała. Tego dnia wiosna jeszcze spała, ale każdego dnia w powietrzu intensywniejszy był jej zapach. Coraz wyraźniejszy i bliższy. Przyszła do niego. Otworzył drzwi z radością w sercu, która wypełnia każdego kto zobaczy w drzwiach tego – kogo oczekuje i kocha. Był 6 dzień kwietnia. Tysiąc czterysta pięćdziesiąty siódmy dzień kiedy byli razem. Bruno i Malwina. Ich dzień ostatni. W jej oczach natchmiasz w progu dostrzegł lzy. Plakała. Przez jego głowę przemknęła szybko myśl, że umarł jej kot, mieszkający z jej rodzicami, który ostatnio bardzo chorował. Przytulił ją i chciał zapytać, co się stało ale, rzuciła krótkie:

– Przestań! Nie przytulaj mnie! Odsuń się!

Nie przytulił jej zatem. Zapytał tylko, co się stało zmartwiony jak każdy, kto widzi najbliższą osobę pogrążona w smutku.

– Malwek... coś się stało?

– Nie pytaj mnie o nic, bo nie odpowiem ci – rozpoczęła rozmowę, siadając na skraju łóżka, na którym sypiali, po czym dodała, krótko patrząc mu prosto w oczy: – Odchodzę.

Nie pytał więc. Kawa nie smakowała. Samochód zapalił swój silnik i rozgrzewał się powoli. Biegi wchodziły same, a przepisy i ograniczenia były bez znaczenia. Jechał przed siebie, a na koła nawijały się kolejne kilometry asfaltowej szosy. Jechał w stronę zachodzącego najjaskrawszą purpurą słońca. Uciekał. Łzy płynęły po policzkach tak łatwo, jak dźwięki z głośników samochodowego radia. Potem przyszła samotna i straszna noc w najpiękniejszym azylu, jaki posiadał. W domu swoich rodziców w podgórskiej wiosce. Obojętny dzień i wieczór nieuniknionego powrotu.

W ich mieszkaniu, po powrocie zastał wszystko tak samo jak wtedy, kiedy wyszedł. Tylko w łazience nie było już jej kosmetyków. Z każdego miejsca tego mieszkania wyczierała na Bruna jej osoba pod postacią najróżniejszych sprzętów. Lampa, którą kupiła w Ikea. Kaktus, którego kupowali razem. Książki, płyty, ubrania i jej zapach, którego nie czuł, kiedy byli razem, a teraz jego nozdrza podświadomie poszukiwały go, jak wyjęty z wanny karp przed Wigilią próbuje schwycić w powietrzu wodę, co tak samo pozbawione jest sensu jak to, co robił wtedy.

I nagle kuchnia. Zlew. Zwykły – jak każdy, metalowy, ocynkowany, prosty – taki sam od lat. Wewnątrz – dwie filiżanki po kawie. Nigdy nie pili z nich. Piła z nich ona. Piła z kimś. Wszedł do łazienki i wzrok skierował na klozet. Deska podniesiona. Patrzył na kibel i słyszał jej wczorajsze słowa kiedy zaczęła:

– Pamiętaj, że Cię kocham.

Wywalil z siebie kolejne porcje wymiocin szargany niezidentyfikowaną wewnętrzną siłą.

– Kurwa, jak to możliwe? Siedzi i przypomina sobie książki, które kiedyś czytała, a on prześmiewczo twierdził, że napisała je Katarzyna „Zdrada” Grochola. Czuje, jak życie piachem sypnęło mu w oczy. Nic nie widzi. Nie wie, co dalej i wciąż zadaje sobie to pytanie. Mijają dni i noce. Samotne. Życie toczy się wokół dojazdu do pracy, pracy, powrotu, snu i posiłków nieustalanej

treści. Przychodził do tych murów i płakał. Jak dziecko prawdziwymi łzami, nikt tego nie widział nikt tego nie wiedział i tylko niewielu to rozumiało. Tylko Ci, którzy sami płakali. Tylko oni. Tylko w samotności płacząc ma się tak naprawdę z tego pociechę. Znikła nagle tak, jak znika ciekły azot w powietrzu. Przepląta pomiędzy palcami jak mgła i choć była tutaj jeszcze przed chwilą teraz pyta ją, które zdjęcia chce zabrać. Czuje, że jest taka obca, jak ktoś, kogo nie widział od lat.

Spędza niektóre noce z nim, by bardziej go sfrustrować i aby zrozumieli, że nie wejdą już nigdy do tej samej rzeki. Nigdy nie będą już kochankami i nie połączy ich ust nic innego jak tylko przywiązanie. Jaki sens pić to samo piwo, kiedy uleciał gaz? Nigdy nie będzie już na ich ustach słowa kocham i ani cienia namiętności. Nie będzie słów: żyję tylko dla Ciebie, nie usłyszą ich nigdy. Nie będzie wycieczek do Miasta Karola, kiedy mróz trzaska i ciepłej, obrzydliwej czeskiej herbaty na Starometskím Namesti, która pomimo całego podłego smaku i tak cieszyła podniebienie i serce. Nie będzie uśmiechów i nie będzie wysokich dzieci. Nie będzie domu z ogródkiem, nie będzie kota, psa i nie będzie nas. Nie będzie tego wszystkiego, co jej obiecał i tego, co obiecała mu ona, do chwili, kiedy po raz ostatni wypuści powietrze ze swoich płuc. Powietrze, którym oddychali razem. Nie będzie nigdy już nas... bo nas umarło.

Będzie zawsze żal o to, że miała odwagę zrobić to, co zrobić trzeba było i to, co przyszłość przyniosłaby sama. Żal pozostanie. Żal, że spieprzyli to, co mogło być, mogło być – inaczej.

- Spieprzyliśmy sprawę Kwiatuszku.
- Spieprzyliśmy sprawę Brunonku.

23.

Jego szef spojrzal na niego. Dłuższą chwilę uważnie się przyglądał. Po czym uśmiechnął się i bezceremonialnie, prosto i zupełnie szczerze skwitował widok swojego pracownika na motocyklu po pierwszy raz w życiu na skwitował:

– Zajeście!

Po czym nastąpiły dokładniejsze oględziny, a po nich nieuniknione:

– Mogę się przejechać?

– Jesteś pewien?

Stojąc ubrany w krótkie spodenki w kolorze plażowego pisaku i takąż samą koszule, w klapkach wzbudzał wątpliwości Bruna.

– Jasne. – Arek podekscytowany dosiadał już maszynę.

– Weź chociaż kask.

– Ja tylko tutaj, kawalek – odpowiedział jego szef. – Nie potrzebuję.

Machnął obojętnie ręką i poszedł się przebrać do biura. Wielką zaletą jego pracy był fakt, że biuro to znajdowało się kilkanaście kilometrów od miasta, na wsi, gdzie kontakt z klientami ograniczał się prawie wyłącznie do kontaktu telefonicznego. Nie musiał więc stroić się w krawaty i białe koszule, a mógł wyglądać normalnie, swobodnie i bez udziwnień. Kiedy zdjął swoje skóry i przebrał się w spodenki i tiszert. Rozpoczął swój dzień pracy. Arek po przejeździe zafascynowany, podniecony i jednocześnie wystraszony wydał polecenia na najbliższe godziny pracy co chwilę przypominając sobie, o czym miał powiedzieć, by pod koniec wziąć kluczyki od swojego samochodu i stukając się nimi w czoło robiąc krótki rachunek, listy poleceń ułożonej w głowie:

– To, to, to..., aha i to. – Po czym wydał jeszcze jedno. Zastanowił się i ruszył za swoimi sprawami, żegnając się swoim krótkim:

– Okey. Jadę.

– Jedź, jakby co... będę dzwonił.

Został sam z poleceniami. Dotyczyły one dwóch kategorii zdań. Zadania codzienne, te oczywiste, jak telefony i korespondencja i prowadzenie listy zgłoszeń – nie wymagające komentarza oraz dodatkowe, jak np. pojechanie samochodem do mechanika, albo napisanie do kogoś e-maila, wyszukanie jakiejś informacji telefonicznie lub za pośrednictwem Internetu. I oczywiście organizacja przyjazdów i wyjazdów według wizji jego szefa i ściśle przestrzeganych poleceń. Pozwalało mu to pracować i jednocześnie oddawać się najczęstszym zajęciom biurowców, czyli surfowaniu po nieograniczonemu niczym Internetowi oraz komunikacji z innymi ludźmi. Około godzin popołudniowych, kiedy światło zaczynało padać na zimne pod kontem wyostrzającym kontury budynków, cegieł, drzew i płotów był czas, kiedy odzywały przerwane pracą kontakty.

– Bruno. Puk, puk?

– Jestem.

– To dobrze. Możesz rozmawiać ze mną?

– Tak.

– A chcesz...?

–Betka! Jasne, że tak. Jak nie będę chciał to po prostu nie będę rozmawiać. I tyle. A teraz chcę.

–To dobrze, Ale wiesz co... potrafiłbyś tak?

–Jak?

–No milczeć, tak.

–Nie wiem, chyba tak, a może nie... kto wie?

–Wiesz co? Postanowiłam, że zanim się spotkamy chciałabym Ci powiedzieć, to znaczy, wiesz... napisać to.

–Mam się bać?

–Nieee... chyba nie.

–Bardzo Cię lubię. Wiem, że to dziwne, ale polubiłam Cię od pierwszej chwili... a mimo to przecież nie widzieliśmy się nigdy naprawdę i nie znamy się chyba.

–Myślisz, że nie?

–Myślę, że się poznamy kiedyś lepiej.

–I bez znaczenia, czy się będziemy widywać czy nie. W końcu, siedząc w tych biurach prawie codziennie od 9.00 do 17.00 jesteśmy skazani na swoje towarzystwo i tak czy inaczej się poznamy.

–Wiesz, Bruno... masz chyba rację.

–Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

–Muszę Ci się do czegoś przyznać.

–Zamordowałaś kogoś?

–Nie... to o Ciebie chodzi.

–Chcesz mnie zamordować?

–Nie... chcę poznać Twój głos.

–Mój głos... hm... nie wiem co powiedzieć.

–Nie musimy się przy tym widzieć, prawda?

–Tak.

–Wystarczy głos?

–Tak.

–Na przykład w słuchawce telefonu?

–Tak. Na przykład.

–Potrzebujemy numerów telefonów?

–513915825... to mój numer. Podasz mi swój, Brunonku?

–Dałaś mi swój. Nie wypada mi chyba teraz odmówić, prawda?

–Prawda.

–501127832

–Dziękuję. Ale wiesz co... My Darling – użyła tego określenia po raz pierwszy, po raz pierwszy niezrozumiały i po raz pierwszy wprowadzając w ich relacje kod. Kod tylko dwóch ludzi. – Obiecujemy sobie jednak, że na razie nie będziemy tych numerów wykorzystywać.

–Wykorzystywać?

–Tak, do porozumienia głosowego. Rozumiemy się?

–Rozumiemy się.

–Więc mamy sobie nasze numery i możemy do siebie czasem napisać sms, ale nie dzwoniemy do siebie?

–Tak, dokładnie tak, Mój Drogi. Ale wiesz co?

– Co?

– Ja nadal chcę poznać Twój głos.

Mężczyznę sprzed monitora wyrwał kolejny tego dnia telefon. Zanim odebrał zdążył jeszcze przesłać jej emotka wskazującego, że będzie rozmawiał przez telefon, po czym odebrał.

– Trans Expres, słucham?

Uderzyła go chwila ciszy, w której zobaczył na ekranie pojawiającą się od niej wiadomość:

– Wiem.

Po chwil usłyszał w słuchawce po raz pierwszy jej głos.

– A więc to Twój głos.

Zaskoczony i zbity z tropu, słysząc jej głos po raz pierwszy i niespodziewanie, odpowiedział jej:

– Tak, teraz już znamy swoje głosy.

– Wiesz... mogłam w każdej chwili zadzwonić do Ciebie. Przecież znam numer do Twojego biura.

– Tak masz rację... hm... myślisz, że ja numeru do Twojego biura nie znam?

24.

Była jak kot. Kiedy go zawołasz, zwykle nie przychodzi do Ciebie. Zanotuję, że go chcesz, ale dopiero kiedy i on zechce – przyjdzie do Ciebie. Była właśnie taka sama. Sobotnie ciepło, wiosenne przedpołudnie atrakcyjnie zapraszało ciepłymi promieniami słońca, świeżą zielenią liści i trawników. Ulice zapelniły się od przechodniów. Miasto staje się w porannym rytmie rzeką ludzkich głów, płynie kolorem samochodowych blach. Wstała późno, a w każdym razie później niż zwykle. Dziś do pracy nie szła, w pracy był Bruno. Ktoś musi pracować, aby mógł nie pracować ktoś, pomyślała uśmiechając się do swoich myśli. Zaparzyła kawę, włączyła radio i zaczęła powolutku pić. Po chwili stała już przy lustrze i ze zmrużonymi jak u francuskiego malarza oczami oceniając swój aktualny wygląd. Po pół godzinie zaakceptowała go. Następne dziesięć minut zajęło jej stanie w samych tylko białych stringach i tak samo białym staniku i wyszukiwanie sukienki... odpowiedniej sukienki na dzisiejszy dzień. Spojrzała za okno, było ciepło. Ostatni rzut oka na zegarek i w chwilę potem padł ostateczny wybór. Po kilku minutach wybiegła na ulicę w lekkiej, czerwonej sukience. Weszła do biura, ciche teraz pomieszczenia, w których zawsze jest głośno sprawiły, że poczuła coś, jakby smak zakazanego owocu chociaż przecież przychodziła tu już wcześniej w soboty, albo późnym wieczorem i nawet przestała się przejmować wymownymi spojrzeniami nocnych stróż. W pomieszczeniu panował zaduch. Otworzyła okno. Poczula ożywcze powietrze, na monitorze wyświetlił się pulpit. Nagle uświadomiła sobie, że stwardniały jej sutki. Uśmiechnęła się do siebie, prawie w to nie wierząc, po czym usiadła przed klawiaturą. Poczekala do pełnego uruchomienia się Xp i na połączenie z Internetem. Po chwili szare, niedostępne słoneczka symbolizujące użytkowników jej komunikatora ożyły. Ją jednak interesowało tylko to jedno. Palilo się. Bruno był dostępny. Odsunęła krzesło od biurka. Zdjęła buty, bez użycia rąk, samymi tylko stopami. Ustawiła zdjęcie Bruna jako tło pulpitu i położyła bose stopy na burku. Patrzyła i myślała. Rozłożyła nogi, szeroko rozstawiając stopy i wsunęła swoją dłoń w bieliznę.

Epitafium

W chwili, kiedy piszę te słowa minęły już niemal trzy lata od ukończenia pracy nad tą powieścią. Przeszło trzydzieści miesięcy temu nie widziałem konieczności pisania jakiegokolwiek słowa. Teraz jest ono jednak w moim odczuciu niezbędne. Głównie dlatego, że masz przed sobą drugie, nieco zmienione wydanie tej historii.

W pierwszym wydaniu autor pojawia się jako Artur Szuc. To największa zmiana, choć są rzecz jasna i inne, to mają tylko trzeciorzędne znaczenie. Oczywiście pod tym pseudonimem ukryła się moja skromna pisarska tożsamość. Powodem, dla którego kryłem się za kurtyną innego nazwiska był fakt, że historia zawarta na stronach tej powieści jest w nieprzyzwoicie dużym stopniu prawdziwa. A w kwietniu 2007 roku pamięć o tamtych dniach była jeszcze zbyt świeża, by brukać ją gęsim piórem i atramentem pod własnym nazwiskiem. Teraz wszystko jest inne...

Owszem, mogłem powstrzymać się od pisania. Lecz napisanie tej książki – dziś widzę to z dalekiej perspektywy minionego czasu – zapewne uchroniło mnie od upadku w bezkresne czeluści oblędu. Bruno, Malwina i Beatka to bowiem ogromnie ważna część mojego życia. To cześć mnie samego. I choć dzisiaj jest ona już martwa jak oni, to dzięki tej książce na zawsze zachowam o nich jak najlepsze wspomnienie.

A tamte dni nie utoną w morzu zapomnienia.

Patronat medialny



Nasza-Czytelnia.pl
Bo to my ją tworzymy



www.kuznia.art.pl





ALEKSANDER SOWA (1979 R.). URODZIŁ SIĘ W PACZKOWIE, W WOJEWÓDZTWIE OPOLSKIM. WYCHOWYWAŁ SIĘ WE WSI KAMIENICA W GÓRACH ŻŁOTYCH, NA POGRANICZU POLSKO-CZESKIM DO 15 ROKU ŻYCIA. TAM TEŻ W WIEKU 4 LAT NAUCZYŁ SIĘ PISAĆ I CZYTAĆ. ZADEBIUTOWAŁ W 2006 R. POWIEŚCIĄ PT. UMRZEĆ W DESZCZU.

JESZCZE JEDEN DZIEŃ W RAJU TO DRUGA POWIEŚĆ W DOROBKU TEGO AUTORA. ŁĄCZNIE WYDAŁ OSIEMNAŚCIE PUBLIKACJI.

STRONA AUTORA: WWW.WYDAWCA.NET

„NIE CZYTAJ TEJ KSIĄŻKI, JEŚLI NIE CHCESZ, ABY TWOJA ULUBIONA CZERWONA SUKIENKA BYŁA JESZCZE CZERWIEŃSZA. NIE CZYTAJ JEJ TEŻ, JEŚLI NA ZAWSZE NIE CHCESZ MNIE ZNIENAWIDZIĆ...”

DZIEWCZYNIE O PERŁOWYCH WŁOSACH

CZWÓRKA ZWYKLYCH LUDZI. TRZY KŁAMSTWA. DWIE OFIARY I JEDNA, HIPNOTYCZNA OPOWIEŚĆ O TOKSYCZNEJ MIŁOŚCI, ZBRODNI, NAMIĘTNOŚCI I ŻĄDZY. HISTORIA O CAŁYM ŻYCIU I OPOWIEŚĆ O JEDNYM DNIU. NAJWAŻNIEJSZYM DNIU W ŻYCIU, BO TO TEN MAGICZNY DZIEŃ. DZIEŃ, KTÓRY ZMIENIA W ŻYCIU WSZYSTKO.

WYDANA PO RAZ PIERWSZY POD PSEUDONIMEM POWIEŚĆ PT. JESZCZE JEDEN DZIEŃ W RAJU TO SKANDALIZUJĄCA HISTORIA Z ŻYCIA CZWÓRKI BOHATERÓW.

KSIĄŻKA JEST OSADZONĄ W POLSKICH REALIACH POWIEŚCIĄ OBYCZAJOWĄ Z WIRTUALNĄ ZNAJOMOŚCIĄ WE TLE, KTÓRA PRZERADZA SIĘ W GORĄCĄ I BURZLIWĄ HISTORIĘ O MIŁOŚCI: O TYM, CO WAŻNE, PRAWDZIWE I CZASEM TAK BARDZO POTRAFI NAS BOLEĆ. WSPÓŁCZESNA I AUTENTYCZNA HISTORIA O LUDZIACH ZAPŁĄTANYCH WE WŁASNYCH UCZUCIACH PRZENIKAJĄCA NAS DO ZAKAMARKÓW DUSZY NICZYM ŚLEPE OSTRZE PRZEZNACZENIA. NIEZWYKŁE STUDIUM LUDZKICH EMOCJI, OBSESJI, UCZUĆ I CHARAKTERU.

PATRONI MEDIALNI

